

Łukasz Maślanka: Gdy Europa wstaje z kolan...

Jedynym rozsądnym wyjściem z pogłębiającego się kryzysu Unii jest skupienie się na integracji społecznej i gospodarczej przy jednoczesnym zawieszeniu działań na rzecz federalizacji politycznej, instytucjonalnej i monetarnej – pisze Łukasz Maślanka w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Stary (nie)porządek.

Zeszłotygodniowy atak prezydenta Francji Emmanuela Macrona na polski rząd powinien zostać odczytany w Warszawie jako dramatyczny sygnał ostrzegawczy. Nie dlatego, że Macron ma rację. Choć jego krytyka poczynań ekipy PiS wydaje mi się częściowo uzasadniona, to w rzeczywistości chodzi mu o coś zupełnie innego: pragnie wykorzystać niezliczone pola konfliktu na linii Warszawa–Bruksela do realizacji własnych interesów wyborczych (ze względu na nikłe oddziaływanie tzw. „pracowników delegowanych” na całokształt gospodarki francuskiej trudno tu nawet mówić o interesie Francji). Przed czym zatem powinniśmy czuć się ostrzeżeni? Otóż w jednym z najważniejszych krajów członkowskich UE wcale nie musiał dojść do władzy oszalały populistą, by zastosować strategię, którą w Polsce od dwóch lat z powodzeniem stosuje rząd PiS-u: zrobić z polityki zagranicznej wyłącznie funkcję polityki wewnętrznej. Niezorientowani lub zdeorientowani wyborcy w Polsce (tu powinna nastąpić także samokrytyka) mogli mieć poczucie, że taktyka “wstawania z kolan” przynosi skutek. Problem w tym, że w Europie „wstaje z kolan” coraz więcej państw. A nas jakby coraz mniej widać...

Czy oznacza to, że rację mieli wszyscy ci, którzy jeszcze w kampanii wyborczej 2015 roku ostrzegali przed asertywnym zwrotem w polskiej polityce zagranicznej? Z całą pewnością zbyt lekko potraktowano ich, wydawałoby się banalny, ale jakże prawdziwy argument historyczny: w starciu europejskich nacjonalizmów nacjonalizm polski zawsze zostanie zgnieciony jako jeden z pierwszych. Sytuacja obecna jest osobliwa. Poza tragiczną wojną na wschodniej Ukrainie, falą migracji i serią zamachów terrorystycznych (w sumie niczym nie wyróżniających się na tle tych z „ołowianych lat” 1960–1980) nie doszło jeszcze w Europie do niczego dramatycznego. Najgorsze jednak jest to, że możemy w porę się nie zorientować, gdy coś takiego się wydarzy. Jesteśmy w położeniu muzealnego strażnika, który przysypia w swoim kantorku zapominając o tym, że wyłączył system alarmowy, bo ten wcześniej zbyt wiele razy budził go bez powodu. Ostrzegający przed falą populizmu i nacjonalizmu mieli zbyt wiele partykularnych i nie zawsze szlachetnych powodów do nadużywania swoich argumentów. Na tyle długo i na tyle gwałtownie sprzeciwiali się jakimkolwiek zmianom w polityce europejskiej, że ich czarne wizje stały się samospełniającą przepowiednią.

Zresztą to, co uznaję za obronę partykularnych interesów elit, mogło być po prostu sklerotycznym uporem charakteryzującym każdą władzę, która stała się zbyt pewna siebie. Obecnie następuje u nas zadziwiająca powtórka z przeszłości: tak jak poprzedni układ rządzący był organicznie niezdolny do wyartykułowania jakiegokolwiek głosu odrębnego wobec polityki trójkąta Berlin–Bruksela–Paryż (nawet w tak ważnych sprawach jak polityka energetyczna, migracyjna czy polski przemysł stoczniowy), tak obecna władza zasklepiła się w swoim betonowym sprzeciwie wobec jakiegokolwiek polityki wspólnotowej, która nie przynosi nam wymiernych i natychmiastowych korzyści

finansowych. Zarzuty Macrona, że traktujemy Unię jak skarbonkę, uprawomocniają się nie dlatego, że gospodarka francuska nie korzysta ze wschodnich rynków zbytu (bo korzysta bardzo), i nie dlatego, że francuscy rolnicy nie są beneficjentami dopłat (bo są znacznie bardziej niż ich polscy koledzy), ale dlatego, że Warszawa jest teraz psychologicznie niezdolna do zaproponowania jakiegokolwiek rozwiązania mogącego zainteresować całą Unię. W swoich wirtualnych rachubach na odpływającą od Europy Wielką Brytanię i coraz bardziej delirującą Amerykę, minister Waszczykowski i jego pryncypał są całkowicie nastawieni na bilateralizm, który okazał się archaiczny i zgubny już w dwudziestoleciu międzywojennym, a teraz wydaje się jeszcze na dodatek śmieszny. Można by sądzić, że dyplomacja rosyjska dysponuje znacznie większą liczbą atutów, by móc rozgrywać osobno różnych swoich europejskich i pozaeuropejskich partnerów, a jednak nie odnosi na tym polu wybitnych sukcesów. To, co Rosję uderza tylko po kieszeni, dla nas może po raz kolejny okazać się katastrofalne w skutkach.

W Europie istnieją i narastają sprzeczności społeczne i gospodarcze, które w końcu mogą doprowadzić do zapaści całego projektu integracyjnego

Cyniczna taktyka drugiego najważniejszego przywódcy Unii wymaga od Polski zdecydowanego, ale subtelного przeciwdziałania. Zamiast tego

otrzymaliśmy zwyczajową dawkę sklerotycznej propagandy mediów rządowych oraz równie sklerotycznych wypowiedzi najwyższych urzędników państwowych o interesie narodowym, godności itd. W boksie znajdują się zatem dwa nacjonalistyczne kozły, które pędzą w

swoim kierunku, zaś między nimi uwięzione jest zdezorientowane polskie i francuskie społeczeństwo. Jak już bowiem nadmieniałem na wstępie, najbardziej perfidnym elementem działania Macrona jest to, że nie broni on w rzeczywistości żadnych realnych francuskich interesów, lecz tylko buduje naszym kosztem (zupełnie jak brytyjscy konserwatyści przed brexitowym referendum) obraz wroga, przed którym nowy francuski prezydent ma bronić francuskiego pracownika. Parawan ten potrzebny mu jest do osłony całej serii liberalizujących regulacji prawnych, które zamierza wprowadzić na życzenie Niemiec. Taktyka ta domagałaby się demaskacji, ukazania w całości jej antyeuropejskiego i antyspołecznego oblicza. Trudno jednak oczekiwać, by demaskować mógł ją skutecznie rząd prowadzący podobną grę z własnym społeczeństwem (wrogami są tutaj imigranci, lewacy, wysłannicy Sorosa, ekolodzy, homoseksualiści, euroentuzjaści itd., zaś najaktualniejszym problemem – walka z Hitlerem i Stalinem). Nacjonalistyczne kozły to zatem dwie dobrze naoliwione i doskonale opłacane maszyny propagandowe. Ponieważ zbiegają ku sobie w szybkim tempie, niosąc na grzbietach zdezorientowanych polityków, coraz trudniej ocenić, kto tu jest od kogo naprawdę zależny: polskie i francuskie „Ostankino” od polskiego i francuskiego „Kremla” – czy może odwrotnie?

Jak starałem się to wykazać już we wcześniejszych tekstach, uważam, że jedynym rozsądnym wyjściem z pogłębiającego się kryzysu Unii jest skupienie się na integracji społecznej i gospodarczej przy jednoczesnym zawieszeniu działań na rzecz federalizacji politycznej, instytucjonalnej i monetarnej. Z punktu widzenia Polski kluczowe jest z jednej strony współdziałanie z gospodarką niemiecką, głównym motorem naszego rozwoju, z drugiej zaś strony budowanie porozumienia tzw. „nowych krajów” UE z najbardziej poszkodowanymi przez kryzys gospodarczy państwami Południa (Włochami, Grecją,

Hiszpanią, Portugalią). Optymalnym czasem na budowanie takich porozumień, na pośredniczenie w łagodzeniu konfliktów między krajami „dłużnikami” a krajami „wierzycielami” były lata 2010–2013. Czas ten został z punktu widzenia naszej polityki zagranicznej całkowicie zmarnowany. Być jest już za późno. Ale nie widzę żadnej rozsądnej alternatywy (chyba że za alternatywę będziemy uważać ekscytowanie się jakimiś nowymi „Zaolziami” produkowanymi przez propagandę obecnej władzy). Zakładając jednak, że nie jest za późno, do prowadzenia takiej polityki potrzebne jest w Polsce nowe otwarcie polityczne, którego aktorzy potrafiliby pozostawić za burtą zbędne balasty. Ekipa mniej kontrowersyjna ideologicznie, koncentrująca się całkowicie na realizacji kilku priorytetów gospodarczych wpisanych w projekt europejski. Być może takim ośrodkiem władzy mogłoby okazać się prezydent Andrzej Duda.

Filarem polskiej propozycji dla Europy mogłoby być postulat Wspólnej Polityki Przemysłowej. Chodzi oczywiście o odpowiednik Wspólnej Polityki Rolnej, która, choć kosztowna, zapobiegła wyeliminowaniu Europy z roli producenta i eksportera żywności i zapewnia kontynentowi bezpieczeństwo aprowizacyjne. WPP miałyby wspierać kraje i regiony UE niedorozwinięte przemysłowo. Mogłoby to odbywać się na znanej z krajów azjatyckich zasadzie patronatu (wielkie koncerny japońskie dokonywały transferu technologii na rzecz mniejszych przedsiębiorstw umożliwiając im rozwój w niszach, które nie były jeszcze zagospodarowane przez firmy-matki). Słabsze kraje i regiony powinny otrzymać „nisze rozwojowe”, w których mogłyby rozwijać swój potencjał, a następnie dysponować pierwszeństwem w zbywaniu swych towarów na rynku europejskim (zamówienia publiczne, zabezpieczenia celne przed konkurencją pozawspółnotową). Właściwą zaś odpowiedzią na wywoływane przez Macrona awantury, powinien być postulat integracji socjalnej. Polskie elity polityczne mają

zwyczaj „mówienia Balcerowiczem”, nawet gdy oficjalnie Balcerowicza się wyrzekają. Czas akumulacji kapitału kosztem polskiego pracownika powinien dobiec końca. Polski rząd powinien przystąpić do negocjacji z Francuzami zastrzegając jednak, że kwestia wynagrodzenia pracowników delegowanych powinna zostać powiązana z kwestią wynagrodzenia pracowników zachodnich koncernów w Europie Środkowej. Kompromis mógłby wyglądać następująco: polski budowlaniec delegowany do Francji otrzymywałby 75% francuskiego wynagrodzenia pod warunkiem, że 75% francuskiego wynagrodzenia przysługiwałoby także ekspedientce w polskim Carrefourze czy Leclerku oraz kasjerce w polskim oddziale ING czy Crédit Agricole.

W Europie istnieją i narastają sprzeczności społeczne i gospodarcze, które w końcu mogą doprowadzić do zapaści całego projektu integracyjnego. Istniały one od zawsze, lecz przez przynajmniej cztery ostatnie dekady były ignorowane i zastępowane coraz to bardziej postępującą integracją polityczną. Problem w tym, że integracja polityczna to po prostu bratanie się wąskich elit niczym nie różniące się od koligacji rodzinnych łączących wszystkie europejskie dwory w przeddzień I wojny światowej. Przez pierwsze trzy powojenne dekady politycy europejscy pamiętali, że jedynym sposobem zapobieżenia kolejnej wojnie jest takie połączenie gospodarczych mechanizmów w Europie Zachodniej, by ewentualny konflikt zbrojny stał się technicznie niemożliwy. Stąd właśnie pomysł EWWiS oraz Euratomu. Wydaje się, że ta lekcja została całkowicie zapomniana. Stąd rosnąca alienacja „brukselskiej oligarchii”, a z drugiej strony coraz bardziej roszczeniowa i awanturnicza postawa władz coraz to nowych krajów członkowskich, które wyolbrzymiają istniejące problemy Europy w celach czysto wyborczych. Obawiam się, że europejscy dygnitarze mogą pewnego dnia obudzić się w sytuacji, w której ich możliwości działania będą przypominały pole manewru federalnych władz Jugosławii na początku

lat 90. Wydaje się, że sytuacja nie dotarła jeszcze do punktu, od którego nie ma odwrotu, ale wszyscy liczący się gracze (łącznie z naszym własnym rządem) zaprogramowani są na kurs kolizyjny. Skoro nie możemy zmienić całego pejzażu politycznego w Europie, to może warto zacząć od własnego podwórka...